

Jak z wilnianina stałem się wrocławianinem

*Pierwsze powojenne lata we wspomnieniach
Romualda Łopatto syna Jerzego.*



Panowie Łopatto: Józef,
Jerzy oraz Romuald
z córką Anią.

Proste, a jednak skomplikowane. Miasto Wilno, daleko od Wrocławia, położone na wzgórzach, jak wieczne miasto Rzym, zaś Wrocław w dolinie i choć nad rzeką, to jednak zupełnie inna, z niezliczoną, jak mi się wtedy wydawało, ilością mostów. Miasto miało wygląd przerażający. Wysiedliśmy z pociągu na Dworcu Nadodrże i od razu uderzył nas w nos swąd spalenizny. Wiatr unosił tumany kurzu, piasku i wapna ze zrujnowanych kamienic. Całe ulice leżały powalone. Gruzy, gruzy, wszędzie gruzy. Przyjechał tramwaj numer 1. W Wilnie nie było tramwajów, nie ma ich zresztą do dzisiaj. Były tak zwane „arfony”, czyli autobusy. A tutaj tramwaj. Poruszając się jazgotał i piszczał. Motorniczy zatrzymywał się co jakiś czas przy zakrętach, wyciągał spłaszczony metalowy pręt z uchem, napinał się, odkładał zwrotnicę i tak dojechaliśmy do mostu nazwanego teraz Zwierzynieckim. Wysiedliśmy. Konduktor pokazał ręką kierunek, w którym mamy iść. Po prawej stronie zobaczyłem rozwalone budynki w miejscu dzisiejszego ZOO. Poszliśmy we wskazanym kierunku. Na kawałku drewna nasmarowany napis: Mickiewicza. Byliśmy u celu podróży. My, to znaczy ja, wówczas szesnastolatek i mój trzynastoletni brat Józek. Liczne leje po bombach zasypane jakimiś papierzyskami, walające się kawałki mebli. Idziemy, patrzymy, a tu park. Nareszcie jakiś swojski widok. Urodziłem się i wychowałem wśród drzew, więc z radością powitałem tutejsze dęby, świerki, coś w rodzaju sosny, trochę innej niż u nas. Pomiędzy nimi rosły platany. Czytałem o nich, że są to drzewa pospolite w zachodniej Europie. U nas takich drzew nie widywałem. Były potężne, wysokie i rozłożyste. Piękne.

– No – powiedziałem do brata – prawie jak byśmy byli w domu. Są drzewa, zieleni się trawa, choć to dopiero 1 kwietnia 1946¹ roku. W naszych stronach o tej porze dopiero nie-

chętnie zaczynała wyłazić z ziemi. Po dość długim marszu, z prawej strony ukazały się szeregi niewysokich domów, wśród których było kilka zrujnowanych. Znowu na kawałku deski nagryzmołony napis: 9 maja, a na rogu dalej: – Mickiewicza. Numer 41, 43... Ludzi prawie w ogóle nie było. Jakies dwie Niemki ciągnęły wózek na drewnianych kółkach i szwargotały w swoim języku dość głośno. Było je słyszeć na dobre dwadzieścia metrów. Wreszcie numer 111. Weszliśmy na klatkę schodową. Szukaliśmy mieszkania numer 1. Drzwi drewniane, na drzwiach blacha z napisem „Briefe”, czyli po niemiecku „Listy”. Nad tą blachą dzwonek, metalowy z pokrętem. Przekręciłem dwa razy. Dzwonek wydał dźwięk zupełnie taki, jak przy rowerze. Dobiegł odgłos człapiących kroków i głos jednej z naszych licznych ciotek²:

– Kto tam? – zapytała.

– Romek i Józek – odpowiedziałem – przyjechaliśmy z Krakowa.

– Jaki Romek, jaki Józek? – zdziwiła się.

– No my, niech ciocia otworzy – poprosiłem.

Drzwi uchyliły się na szerokość zapiętego łańcucha, a w szparze pojawiła się siwa głowa cioci. Odkąd sięgam pamięcią, ta głowa zawsze była siwa i zawsze uczesana jak gdyby to była peruka, a nie naturalne włosy. Włosy te były dość krótkie, ale dziwnie pozwijane, właśnie jak w peruce.

– Ach, to wy, teraz poznaję. Zaczekajcie, już was wpuszczam.

Drzwi się zamknęły, szczęknął odpinany łańcuch, po czym rozwarły się na całą szerokość. Przywitaliśmy się z ciocią, całując ją w rękę. Była dziewiąta rano, wszyscy domownicy wyszli do miasta i ciocia była w domu sama.

– Chodźcie, napijcie się herbaty.

Kanapki jeszcze z pociągu, zjedliśmy popijając zaparzoną przez ciocię herbatą. Obejrzałem

mieszkanko. Było nieduże, dwa pokoje, mała kuchnia i łazienka – przydała się do kąpieli po niesamowitej podróży. Jechaliśmy bowiem w wagonowej ubikacji, bo cały pociąg był bardzo zatłoczony. Ludzie stali ściśnięci, spoceni, niedomocy. Na drzwiach jednej ubikacji wisiała tabliczka „NIECZYNNE”. Zabraliśmy ją na drugą stronę wagonu, wieszając na drzwiach naszej ubikacji i w ten sposób stonkowo wygodnie – nie licząc szarpania za kłamkę – przebyliśmy całą trasę z Krakowa do Wrocławia. Ta ubikacja zresztą też powinna być nieczynna, bo była w niej tylko umywalka. Co mnie rozśmieszyło, to napis, który ktoś wykonał białą farbą: „WODA NIE ZDATNA DOPICIA”. Oczywiście w kranie było sucho. Powiedziałem do brata: – Popatrz, Józek, anal-fabeci.

Po takiej podróży wiadomo, trzeba się odświeżyć. Ciocia krzątała się w kuchni, zastaliśmy ją przy obieraniu ziemniaków. Nasza pomoc została przyjęta.

– Słuchajcie chłopcy – powiedziała. – Teraz pójdzicie ze mną na działki. Trzeba tam zrobić wiosenne porządki. Co, pomożecie mi? – zapytała.

– Oczywiście, ciociu.

Poszliśmy w kierunku ulicy Dembowskiego, gdzie znajdowały się ponemieckie ogródki pracownicze. Działka była ogrodzona, z szopką, którą ciocia otworzyła dużym kluczem. W środku wśród narzędzi były łopaty i zaczęliśmy przekopywać grządki. Ciocia wskazała Józkowi część działki, na której zauważyłem wyrastające z ziemi już spore, jak gdyby zielone, igielki.

– Józek, zostaw to, nie kop, to czosnek.

Ciocia nie знаła się na ogrodnictwie, czy uprawie ziemi, zaś my wychowani na wsi wiele na ten temat wiedzieliśmy. My kopaliśmy, a ciocia, przykleknawszy na kawałku starego dywanika zaczęła skubać listki szczawiu, który zdążył już dość obficie wyrosnąć. Potem nabierała młodziutkiej mięty, mówiąc, że będzie z niej pyszna herbata. Podczas przerwy w pracy, siedząc na ławeczce, wśród zieleni i świergotu ptaków poczuliśmy się swojsko.

– Opowiedzcie teraz co działo się z wami od końca wojny – poprosiła ciocia – bo wasza mama nie chce nic na ten temat mówić. Słyszałam tylko, że podobno byliście w więzieniu i ciekawa jestem, jak wam udało się wyswobodzić i uniknąć zsyłki na Sybir?

– Ano, byliśmy – rozpocząłem swoją opowieść – to znaczy Mama była, nas mieli umieścić w Domu Dziecka. A nasze uwolnienie zawdzięczamy szlafrokowi.

– Jakiemu szlafrokowi? – ciocia nie posiadała się ze zdziwienia. – Udawaliście chorych i uciekliście przebrani w szlafroki?

– Ależ skąd, ciociu – odparłem – chodzi o szlafrok, który wywędrował z naszego majątku w Szyłelach przez lufcik, w czasie, gdy armia von Paulusa pod Stalingradem przegrywała wojnę.

– Przez jaki lufcik, co ty gadasz, zacznij mówić do rzeczy – zdenerwowała się starsza pani.

– Naprawdę – zaklinałem się. – Pamiętam, że był wtedy potężny mróz, chyba poniżej trzydziestu stopni. W księżycową noc ktoś zapukał w okno naszego domu. Myśmy już spali, ale pukanie nas obudziło. Mama wstała, narzuciła płaszcz i otworzyła lufcik. Do pokoju wtargnęła fala przenikliwego zimna. Skuliłem się pod kołdrą. Pod oknem, odziana w jakieś łachmany, stała Ryfka Szmul, Żydówka z Mejszagoły. Do niemieckiej okupacji była właścicielką małej restauracji, gdzie często czekało się na autobus do Wilna. Wycieńczona, zziębnięta, ledwie trzymająca się na nogach szeptem poprosiła mamę o trochę jedzenia, bo ukrywając się gdzieś w stogach przymierali głodem. Mieliśmy w domu duże, stare dębowe skrzynie, w których trzymaliśmy żywność: mąkę, kaszę, słoninę i chleb. Jeden z tych kufrów miał wewnątrz przykrycie z tego właśnie szlafroka, który został подарowany Mamie przez wuja Michała z Włoch. Uszyty z pięknego wzorzystego jedwabiu, kompletnie nieprzydatny w tym klimacie, wspaniale służył jako maskowanie naszych zapasów. Niewiele myśląc, Mama chwyciła go, pozawiazywała rękawy i nasypała do jednego mąki, do drugiego kaszy. W środek włożyła bochen chleba, spory polec słoniny, szybko zwinęła to wszystko w zgrabny tobołek i wypchnęła przez otwarty lufcik. Nie bacząc na szeptane słowa podzięk, równie szybko zamknęła okno, zgasiła świeczkę i położyła się spać. I jeszcze jedno: naszego majątku pilnowało stado dużych psów, które ostrzegały nas przed obcymi. Wtedy jednak widocznie wyczuły całą biedę i słabość tych ludzi i pozwoliły im zbliżyć się do naszego domu nie wszczynając alarmu.

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z waszym uwolnieniem – choć słuchała z zainteresowaniem, ciocia nadal nie wydawała się ani odrobinę mądrzejsza.

– Ano, kiedy po raz drugi złapano nas na nielegalnym przekraczaniu granicy, gdy próbowaliśmy dostać się do Hanoweru, gdzie, jak ciocia wie, przebywa nasz ojciec, mamie groził wyrok co najmniej czterech lat więzienia, bo za pierw-

szym razem dostała dwa lata w zawieszeniu. Złapali nas w pensjonacie służącym za punkt przerzutowy w Szczecinie, gdzie urządzili „kocioł”, o czym nie mieliśmy pojęcia. Mama została aresztowana i przewieziona do Urzędu Bezpieczeństwa na Wałach Chrobrego, a my pozostaliśmy w „kotle”, do czasu, aż przyjedzie po nas ktoś z Domu Dziecka. W tej niewesołej sytuacji z pomocą przyszło nam zdarzenie, które miało miejsce dziesięć lat temu. Konsekwencje nieuwagi pewnego parobka, pracującego w sąsiedzkim majątku, teraz okazały się nam bardzo pomocne. Ów parobek tak nieszczęśliwie wsuwał snopki zboża do młoc-karni, że stracił przy tym prawą dłoń. I dzięki temu mogliśmy tutaj przyjechać.

– Romek, znowu zaczynasz opowiadać bania-luki. Jaka znowu urwana ręka?! – ciocia była już zupełnie zdezorientowana.

– No tak. Był u nas robotnik bez ręki. Ojcu zrobiło się żal i jego, i rodziny, więc gdy ten przyszedł z żoną szukać pracy, tata go przyjął, a nawet załatwił mu protezę, by nie straszył otoczenia kikutem. Pamiętam, że ta proteza była metalowa, z rzemieniami i obciążoną skórzaną rękawiczką. Mieliśmy w majątku warsztat, do którego ojciec zakupił między innymi tokarkę do drewna z napędem nożnym, całkiem takim jak ta maszyna do szycia, która stoi u cioci w drugim pokoju. Człowiek ten został zatrudniony u nas w charakterze stelmacha³, a że całkiem zgrabnie mimo kalectwa posługiwał się tokarką, dorabiał osie i szprychy do kół wozów, toczył w drewnie wszystko, co na bieżąco było potrzebne. Dostał też w naszych czworakach mieszkanie i do końca u nas pracował. Został tam również po tym, gdy nas wyrzucili z domu bolszewicy. Teraz okazało się, że komendantem „kotła”, do którego wpadliśmy, był jego chrześniak. Kiedy dowiedział się naszego nazwiska, okazało się że cała rodzina pamiętała dobry uczynek ojca.

Po tak odnowionej znajomości postanowił przyjść nam z pomocą. Najpierw polegało to na tym, że dostawaliśmy jedzenie z prowiantu, który codziennie był dowożony dla milicjantów z załogi „kotła”. Ponieważ mój ojciec uratował jego chrzestnego od głodu i nieszczęścia, on również nie dał nam umrzeć z głodu. A trzeba wiedzieć, że nie było zwyczaju karmienia niedoszłych zbiegów.

Po pewnym czasie ów komendant (Wituś) zawiadził mnie i poradził, żebym poszedł do Urzędu Bezpieczeństwa. Duża część obecných majorów i pułkowników pochodziła z Wileńszczyzny, więc może udałoby się u nich

wyprosić zwolnienie Mamy. Tak zrobiliśmy. Wituś kończył służbę, która trwała 24 godziny i zawiadził mnie gazikiem na Wały Chrobrego. U dyżurnego załatwił mi po znajomości wejście do budynku i posłuchanie u prokuratora.

Z duszą na ramieniu podszedłem do masywnych drzwi, gdzie na przyszpilonej kartce widniał napis: „Pułkownik Ignacy Szmulewicz – prokurator”. Za biurkiem siedział Icek Szmul, który przed wojną rozwoził z miasteczka zakupy. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem z Szyłel i przyszedłem prosić o pomoc dla Mamy. Icek – teraz Ignacy – popatrzył na mnie dosyć dziwnym wzrokiem, następnie sięgnął po grubą księgę, w której wpisano setki nazwisk ludzi aresztowanych przez UB. Kilka minut wertował kartki, wreszcie znalazł nazwisko więźniarki – mojej Mamy. Zapisał sobie numer na karteczce i oświadczył: – No tak, twoja mama chciała uciec z ojczyzny, i jeszcze zabrać ze sobą was, dwóch młodych silnych, teraz, gdy po wojnie trzeba nam rąk do pracy by odbudować kraj. Za taki czyn zasłużyła na karę.

– A to, że w czasie wojny, gdy Niemcy bili się pod Stalingradem, ryzykowała życie, to się nie liczy? – zapytałem.

Pułkownik popatrzył na mnie zaskoczony i zapytał. – O jakim ryzyku mówisz?

– A o takim, że za szlafrok z jedzeniem wszyscy mogliśmy być rozstrzelani.

– Jaki szlafrok? – na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Włoski szlafrok, bordowy, jedwabny, w kwiatki – powiedziałem trochę rozeźlony.

– Gdyby ktokolwiek doniósł Niemcom, że pomagaliśmy Żydom, to myśli pan, że co by było? Postawili by nas pod ścianę, poczęstowali serią i do widzenia.

Widać było, że opis szlafroka zrobił wrażenie na prokuratorze. Bez słowa nacisnął umieszczony pod blatem biurka dzwonek. W drzwiach stanął dyżurny z białoczerwoną opaską na rękawie. Ignacy wręczył mu kartkę z numerem więźnia i kazał przyprowadzić Mamę. Po krótkich formalnościach i nakazaniu opuszczenia Szczecina, puścił nas wolno. Pojechaliśmy do cioci Mani, do Krakowa. Spędziliśmy tam jakiś czas w jej ciasnym mieszkaniu, a ponieważ we Wrocławiu zaczęła się formować nasza karaimska kolonia, postanowiliśmy przyjechać tutaj. – I teraz ciociu siedzimy sobie na ławeczce, ptaszki ćwierkają, a ja zamiast być wilnianinem, to będę teraz wrocławianinem, czy jak?

Romuald Łopatko z żoną.
W wózku córka Ania – już
wrocławianka.



Czy stałem się wrocławianinem?

Po 56 latach spędzonych nad Odrą nie mogę szczerze na to pytanie odpowiedzieć. Kiedy łapię w Odrze leszcza, wspominam naszą rzekę Musę (dopływ rzeki Świętej), w której pływały identyczne leszcze. Tamte były moje, bo pradziadowie od 600 lat łowili i przeżywali radość zdobyczy właśnie nad Musą. Tutejszy tatarak, zwany u nas ajerem, tak samo pachnie, ale jest dolnośląski, a nie wileński. Prawdopodobnie stuprocentowym wrocławianinem stanę się dopiero w urnie z własnymi prochami, bo spoczną one na wrocławskim cmentarzu. Często widuję na nagrobkach napis: taki to a taki – urodzony dnia... w Wilnie. Na wileńskim cmentarzu takich dopisków nie trzeba. Niemniej to tutaj, we Wrocławiu przyszło mi żyć, z nim związałem już na zawsze swoje losy. Może znajdzie się ktoś, kto będzie znał sensowną odpowiedź dlaczego, choć wątpię. Sam tego nie wiem.

Rok 1946 minął bardzo szybko. Trzeba było nadrobić braki w wykształceniu. Zdałem egzaminy, tak zwaną małą maturę i od 1947 roku rozpocząłem naukę w Państwowym Liceum Budowlanym przy ulicy Dawida. Zamieszkaliśmy z Mamą na parterze bloku przy ulicy Kasprzaka 21 na Biskupinie. Cicha ulica, brat miał blisko do szkoły, ja natomiast musiałem sporo chodzić. Szło się ścieżką przez ogródki od ulicy Dembowskiego do Olszewskiego, potem tramwajem do placu Grunwaldzkiego i dalej piechotą przez odbudowywany most do Dworca Głównego. Stamtąd już tylko przejściem pod torami, obok dzisiejszej dyrekcji PKP, prosto do szkoły.

Trzy razy w tygodniu między 6.00 a 7.30 mieliśmy treningi drużyny piłki wodnej na basenie przy ulicy Teatralnej. Mało popularny to teraz sport, a szkoda. Tak wiele miałem wtedy świeżych i bolesnych wspomnień, z których składało się moje wileńskie życie. Zapamiętanych szczegółów, zapachów i odgłosów naszego miasta, widoku nieba; podobne mogę oglądać dziś na Mazurach, bo tutaj to nie te cumulusy i nie ten błękit.

Czy byłem kontra władzy ludowej? Z całą odpowiedzialnością odpowiadam, że nie. Zbyt silnie tkwiło w moim ego, zarówno wychowanie, jak i poczucie odpowiedzialności za to, co robię. Co innego żałować, że Wilno odpadło od Polski, a co innego tkwić po uszy w sprawach bieżących dnia codziennego, na emigracji, zwłaszcza psychicznej. Zauważyłem, że NKWD,

które praktycznie rządziło w latach 1946/47 wiedziało, kto jest kim. My z Wileńszczyzny, wychowani w atmosferze uczciwości, doznaliśmy goryczy porażki w „Akcji Burza”. Było to jeszcze gorsze posunięcie „zwapniałych” polityków z Londynu niż sprawa Powstania Warszawskiego. Dlatego, gdy wiosną 1947 roku zapukał do naszego mieszkania „goguś”, ubrany identycznie jak poprzedni dwaj, powiedziałem: NIE! „Gogusiami” nazywałem agentów siatki zajmującej się przerzutem Polaków przez zieloną granicę (oczywiście zachodnią). Zapewne częściowy wpływ na moje „nie”, miały szczecińskie doświadczenia i choć Mama się wahała, ja byłem pewny swej decyzji. Ojciec nasz w 1940 roku został osadzony w więzieniu, z którego „kibitki” wywozili Polaków. Trafił do Workuty na 8 lat poprawczych łagrów. Miał szczęście, że w rosyjskim bałaganie nie ustalono prawdy i nie wyszło na jaw, że w latach 1914–1918 był kapitanem armii Denikina na stanowisku dyplomowanego dowódcy części pociągu pancernego. Został zesłany, bo był na liście kandydatów na posła ziemi wileńskiej. Zaszufadkowano Go, jakże szczęśliwie, do kategorii „niewiniątek”. Z Workuty, po przejściach, których nie będę tu opisywał, ojciec trafił do armii Andersa, z którą w 1942 roku wylądował w ówczesnej Persji. Tam, będąc mierniczym, a więc specjalistą, otrzymał stopień starszego sierżanta RAF-u. Jako żołnierz teraz już króla Jerzego, a nie cara Mikołaja II, od którego otrzymał Krzyż Świętego – nomen omen – Jerzego. Po zakończeniu działań wojennych w Europie pracował przy odbudowie lotnisk koło Hannoveru. Zapisał się na listę oczekujących na emigrację do Wenezueli. Kilkakrotnie płacił po sto dolarów za osobę, abyśmy mogli do niego dołączyć i wspólnie wyemigrować. Tyle, że za trzecim razem trzeba było próbować przekroczyć granicę nielegalnie. Zaprotestowałem stanowczo, mama pogodziła się z moją decyzją. „Goguś” w butach z cholewami i modnej wówczas czapeczce, z wasikiem à la Valentino, zdumiony i zły odszedł z listem od nas, ale bez nas.

Praca i sport – to było życie pełne i wesołe. Przy ulicy Partyzantów, naprzeciw kościoła znajdował się prowizoryczny cmentarz. Zatrudniłem się na nim przy ekshumacji. Od 16.00 do 20.00 zarabiałem tyle, że kochana Mama mogła kupić 30 kilo świeżych płotek w sklepie rybnym przy Partyzantów. Mieliśmy sporą piwnicę, okropnie była zagracona i wiele pracy kosztowało jej wysprzątanie. Między rupieciami znalazłem czapkę oficera SS,



Znowu razem.
Jerzy i Zofia Łopatto.

a w niej zawinięte w naoliwione płótno Parabellum ze 120 nabojami. Korzystałem wtedy z usług przewoźnika przez Odrę. Kazałem się wozić na drugi brzeg w stronę wodociągów. Było to kompletne pustkowie, jeszcze nie całkiem nawet rozminowane. Rosły tam kilkusetletnie dęby. Dwanaście razy odbyłem wyprawę w to miejsce. Wychodziło po dziesięć strzałów na jedną wycieczkę. Broni pozbyłem się przed powrotem Ojca.

Wrócił z duszą na ramieniu. Trzy dorożki wiozły bagaże. W okrągłych workach z białego, wodoodpornego płótna były przede wszystkim ubrania z demobilu. Koledzy, którym udało się nielegalnie sprowadzić rodziny, oddali Mu swoje sorty mundurowe. Były też walizy, które sami zrobili ze skóry podeszwowej. Długie miesiące nosiłem płaty tego surowca do pana szewca, mieszkającego w domku na prawo od przejścia Dembowskiego – Olszewskiego. Pamiętam, że był bardzo tęgi i zawsze wesoły.

Po powrocie Ojciec przepracował cały okres PRL-owski i były to najszcześniejsze lata moich rodziców. Po 7 latach rozłąki, nareszcie razem, pełni wzajemnej miłości dotrwali kresu swoich dni. Zmarli w odstępie tygodnia, przeżywszy osiem krzyżyków. Cały czas przechowywali dokument stwierdzający pozostawienie mienia na wschodzie, jednak nigdy go nie użyli. Zawsze mówili, że to ojcowizna i kiedyś wróci w posiadanie rodziny. Znaczący się tęsknili i nigdy wrocławianami nie zostali.

Nasza szkoła mieściła się w wolnostojącym budynku i była kierowana przez lwowian. Nie będę przywoływał nazwisk, lecz osobowość poszczególnych nauczycieli zmieniała nas, zbieraninę z całego chaosu pierwszych powojennych lat. Pan od fizyki kulał. Chodziliśmy do jego domu nakręcać zegary, których imponującą kolekcję posiadał. Następny był pan od historii architektury, bardzo mizernego wzrostu, z szopą białych włosów. Żadne wieńczenia czy zdobienia architektoniczne nie miały dla niego tajemnic. Kolejny, młody inżynier z wąsikami, blondyn (jego podpis widnieje na moim świadectwie maturalnym), był architektem. Niski pan od geometrii wykreślnej był geniuszem w swojej specjalności. Jego kładki figur na tablicy były wspańskie, kochał to. Miał na

terenie Wrocławia rywala, ale tylko jednego. Łysy matematyk (ubierał się zgodnie z modą lat trzydziestych) mnie nie lubił, zwłaszcza gdy *sinus* i *cosinus* wypowiadałem z wileńskim akcentem. Zawdzięczam mu swoje szkolne przewisko. Często na basenie koledzy rycieli, aż echo odbite od wody spienionej przez rywalizujące ciała grzmiało: „Cosinus, wa!!!!”. Języka polskiego uczyła pani z chorymi nogami. Miała ładną córkę, wielu z nas do niej wzdychało.

Mój akcent wileński powoli zanikał, byłem dobry z deklamacji. Mickiewicz był w modzie, pamiętam występy dla naszych współuczniów i nieraz zapraszanych dziewcząt z sąsiedniej Średniej Szkoły Medycznej. Sporo małżeństw powstało z tych wspólnych spotkań. Przy Dawida była jeszcze jedna szkoła, podobna do naszej, ale o profilu komunikacyjnym. Między nimi i nami trwała wieczna wojna. Zaczęliśmy ćwiczyć boks, kilku potem wyrosło na sławnych bokserów. Nabyte umiejętności testowaliśmy podczas bójek z sąsiadami. Czasem chodziło o dziewczyny, a przeważnie tak sobie, żeby się rozładować. Moja klasa stanowiła mieszaninę wiekową i społeczną. Z rodzin ziemiańskich było nas czterech, reszta synowie urzędników i kilku potomków chłopskich. Wiek pomiędzy rocznikiem 1920 a 1931. Wśród kilkunastu chłopaków dwie dziewczyny zwane „rodzynkami”. Miały się też tak jak rodzyńki, dobrze. Potem jedna z nich wyszła za Maćka, który kierował budową osiedla przy Świebodzkim, druga gdzieś wyjechała.

Na ubrania pieniędzy nie wydawałem. Mundurów RAF-u wystarczyło na 3 lata. Pensja ojca była skromna, dorabiałem więc w Urzędzie Miasta wykonując tzw. „protokoły konieczności”. Były to formularze do wypełnienia obejmujące dane o stanie technicznym poszczególnych posesji z wyszczególnieniem koniecznych prac do wykonania, aby obiekt nie ulegał dewastacji. Na Brochowie, w blokach kolejarzy widywałem drobne zwierzęta gospodarskie trzymane w łazienkach. W jednym z mieszkań na pierwszym piętrze odkryłem krowę. „Zakwaterowane” tam cielę po jakimś czasie urosło, stając się prawdziwym problemem do eksmisji. Za każdy protokół płacono równowartość 15 kilogramów świeżych dorszy, oczywiście z rybnego na Partyzantów. Z przyjemnością chodziłem do fryzjera z ulicy Mickiewicza. W Wilnie strzygł nas przed wojną, więc teraz miałem „oddech” wileński. Jego brat też był fryzjerem i przed wojną przychodził do naszego dziadka.

Przypisy:

¹ Pomyłka autora, z chronologii zdarzeń wynika, że musiał to być rok 1947 (red.).

² Tatiana Michajłowna ze Szpakowskich Kobecka, teściowa Anny (Nusi) z Szyszmanów Kobeckiej, u której przy ulicy Mickiewicza początkowo mieszkali Łopattowie, by potem przenieść się na ulicę Kasprzaka, do Szymona Firkowicza (red.).

³ Stelmach – dawniej: kołodziej (red.).

⁴ Znana propagandzistka owych czasów (red.).

Któregoś ranka nakryłem go, gdy zalecał się do naszej kucharki Wici. Dał mi 50 groszy za milczenie. Wyszło tak, iż to ja bardziej niż Wicia bałem się, że ciocie dowiedzą się całej prawdy. Za 50 groszy miałem 5 razy opłaconą ślizgawkę na placu Łukiskim, gdzie wieczorami korzystaliśmy z dobrodziejstw zimy. Muzyka, oświetlony plac lodowy, a wokół spiętrzone zwały śniegu. Kto chciał ślizgać się wieczorem za darmo, musiał przed szkołą odgarniać śnieg.

Nasza „Budowlanka” składała się z trzech klas. Wyszło z nich kilku sławnych wrocławian: Jurek – profesor, Jasiu – profesor i wielu, którzy ukończywszy Politechnikę na Świerczewskiego, stali się kadrą wydziału Budownictwa i Architektury. Z naszych klas powstał wydział zwany „NOT”. Mnie skreślono z listy studentów. Trzyosobowa komisja uznała, że jako potomek „burżujów” nie jestem godzien być nikim ponad technika budowlanego. Pierwszą pracę jako stażysta odbyłem w Jeleniej Górze, na budowie zwanej „Celwiskoza”. Podlegali mi junacy z Hufców Pracy. Zadaniem 320 junaków było przygotowanie wykopów pod fundamenty przyszłego budynku elektrociepłowni. Rysunki dostałem z biura. Jako że moim ojcem był mierniczy-meliorant i często w wakacje pomagałem mu w pomiarach, stałem się głównomierzającym. Wytyczone fundamenty zostały wykonane miesiąc przed terminem. Odbyły się odbiory. Dyrektorem PBP-5 był wówczas murarz z awansu. Poklepał mnie spracowaną prawicą i dał premię. Przyszły rysunki budowlane. Zaczęłem rozmieszczać filary, odległości na okna i otwory drzwiowe. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Brakowało ponad 7 metrów na długości elewacji. Zostałem zamknięty w celi na Łąkowej we Wrocławiu i postawiono mi zarzut sabotażu. Miałem wiele szczęścia. Ekspertyza profesorska wykazała, że błąd tkwił w projektowaniu. Budynek miał powstać przed wojną, gdy „Celwiskoza” była filią koncernu szwedzkiego. Szwedzi stosowali cement 600-tkę, my 250-tkę. Przekroje filarów u nich były znacznie mniejsze niż nasze. Natomiast rysunki fundamentów odrysowano z projektu szwedzkiego. Wypuścili mnie i gazikiem odwieźli prosto na budowę. Wybudowaliśmy nowe fundamenty, zasypując stare, a budynek stoi do dziś. Drugą pracą była budowa sali wykładowej na Karłowicach. W dawnym seminarium katolickim powstawała szkoła partyjna. Byłem zastępcą kierownika budowy. Na otwarcie szkoły zapowiedziała swój przyjazd sama towarzyska Wanda Odolska⁴. Stropodach ustawi-

liśmy zgodnie z projektem. Wiązary zostały wykonane z desek, od spodu tynki gipsowe. Do 22 lipca został miesiąc. Nocowałem na budowie, bo każda minuta na wagę złota, parkiety już lśniły, gdy nagle usłyszałem podejrzane trzaski. Wpadłem na poddasze, a tu tragedia. Wiązary skręcają się i trzeszczą. Na dole kilkunastu ludzi pucuje okna i parkiety. Narobiłem wrzasku. Chyba już nigdy potem nie wrzeszczałem z taką siłą. Po kilku minutach zgromadzona przed budynkiem załoga zobaczyła, jak ze stropu powstaje gigantyczny tłok zmierzający ku podłodze. Szyby we wszystkich oknach prysły jak bańki mydlane. Stałem obok Niemca. Był to znany przed wojną producent kas pancernych. Byłem z nim umówiony, bo pod tynkiem w jednej ze ścian budynku podstawowego znaleźliśmy kasę. Niemiec przyszedł, żeby ją obejrzeć i akurat trafił na wypadek. Powiedział w niezłej polszczyźnie: „Trzeba było z metalu zrobić, to by stało”. Ponownie trafiłem na Łąkową i znowu usłyszałem słowo sabotaż. Kierownik budowy był w dyirekcji. Złapano go w drodze na Oporów, gdzie mieszkał. Był bardzo przerażony, nie był w stanie logicznie myśleć. Przesłuchanie odbyło się około drugiej w nocy. Weszli cywile. „To źle” – pomyślałem. Byli z Koszykowej, z Warszawy. Siłąc się na spokój, zacytowałem słowa speca od kas pancernych. Jeden z przesłuchujących był strasznie rudy, miał włosy prawie do brwi, czoła zostawało mu może ze dwa, góra trzy centymetry, cera piegowata, ręce o krótkich, owłosionych palcach. Na lewej ręce miał złoty zegarek Patek, poznałem, bo identyczny miał mój wujek zwany w rodzinie „Mecenasem”. Ten Rudy wysłuchał moich słów z uwagą i zdecydował: „Jedziemy na budowę”. Wojskowe służby saperskie kończyły uprzątanie zwałowiska. Z budowy pojechaliśmy do Jelcza, gdzie nasza firma prowadziła demontaż fabryki gliceryny i przetwórnii węgla kamiennego na benzynę. Wziąłem z budowy taśmę mierniczą, poniemiecką, 25 metrową. Wybieraliśmy kształtowniki nie krótsze niż rozstaw ścian nośnych „naszej” sali. Projektant przywieziony z Politechniki podawał typy teowników, wpisał do dziennika budowy. Wzięliśmy, co trzeba i już wieczorem tego samego dnia 18 spawaczy błyskało elektrodami całą noc. Krótko mówiąc, dach stanął na czas, choć sufit był inny. Towarzyszka Odolska przecięła wstęgę 22 lipca – zgodnie z życzeniem Komitetu Centralnego. Tak to życie usiłowało zrobić z wilnianina wrocławianina.

Romuald Łopatto (1930–2008)



Romuald z córkami, Anią i Ewą. Wrocław, 1961 r.